

KONIEC EPOKI... KONIEC IDYLLI...

# WILBUR SMITH

DAVID CHURCHILL

RAJ W OGNIU



ALBATROS

Tytuł oryginału:  
LEGACY OF WAR

Copyright © Orion Mintaka 2021  
All rights reserved

Originally published in the English language as LEGACY OF WAR by Zaffre,  
an imprint of Bonnier Books UK

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Paweł Korombel 2022

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki: © Bonnier Books UK

Ilustracja na okładce: © Steve Stone

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



## *Kenia, czerwiec 1951*

W migotliwym świetle przesyconym dymem pochodni z wiązek chrustu Kungu Kabaja patrzył nad zarżniętą kozą, leżącą na środku dawnej kaplicy misjonarzy, na grupę mężczyzn, kobiet i dzieci przyglądających się z pełnym lękiu wyczekiwaniem.

Było ich około sześćdziesięciu, członków plemienia Kikuju, „skwaterów”, jak biali farmerzy nazywali swoich czarnych robotników rolnych. Bo nieważne, jak ciężko pracował skwater, nieważne, jak długo on lub jego ojciec czy nawet dziad żył na farmie, nieważne, jak sprawnie wznosił chatę, w której mieszkał z rodziną – przebywał na farmie tylko dzięki łaskawości farmera i w każdej chwili mógł zostać nieodwołalnie wyrugowany.

Kabaja potoczył wzrokiem po stojącej w pewnym oddaleniu od innych grupce około dwudziestu skwaterów obojga płci, wybranych, żeby uczestniczyli tej nocy w ceremonii, i skinął na człowieka z czoła kolejki. Był to chudy i wysoki jak tyczka, zaledwie osiemnastoletni chłopak. Z brawurą młodzika pierwszy zgłosił się do złożenia przysięgi. Ale to go przerosło. Stracił odwagę. Przerażony, dygotał.

Kungu Kabaja podszedł do niego i ojcowskim gestem położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie ma się czego bać – powiedział tak cicho, że tylko młodzik go słyszał. – Dasz radę. Pokaż im wszystkim, że jesteś

mężczyzną.

Pięciu podwładnych, których Kabaja przyprowadził na ceremonię, spojrzało po sobie; paru pokiwało znacząco głowami albo uśmiechnęło się ze zrozumieniem, gdy prowadzili wzrokiem chłopaka, który wyprostował plecy i uniośł głowę, odzyskując pewność siebie. Podczas drugiej wojny światowej służyli z Kabają w brytyjskim pułku kolonialnym, King's African Rifles; w Etiopii walczyli z wojskami Mussoliniego, w Birmie przeciwko Japończykom. Na ich oczach w pięć lat awansował z szeregowego na starszego sierżanta. I umiał wesprzeć każdego, kiedy było ciężko, potrafił dodać odwagi, gdy trup ściełił się gęsto.

Po powrocie na swoje do Afryki Wschodniej, kiedy przekonali się, że służba wojskowa nie zapewniła im ani praw człowieka, ani przyzwoitej pracy, wraz z Kabają zajęli się rozbojami. Ich gang był jednym z wielu, które powstały w przepelnionych slumsach wyrosłych wokół stolicy Kenii, Nairobi, ale szybko stał się najpotężniejszy. Kiedy gangsterzy przeistoczyli się w buntowników, nadal słuchali Kabai. I jako żołnierz, i jako gangster czy terrorysta miał dryg do przewodzenia.

Cofnął się, zostawiając młodzika samego na środku kaplicy. Tymczasem jego zastępca, Wilson Gitiri, przysiadł na piętach obok kozy, kładąc po prawej ręce maczetę, w którą uzbroił się jak wszyscy buntownicy.

Kabaja, wysoki, przystojny i charyzmatyczny, był niezwykle inteligentny i wiedział, jak pozyskać ludzi siłą rozumu, uroku osobistego czy zastraszania. Wilson Gitiri miał strach samym wyglądem. Był wprawdzie niższy niż dowódca, ale miał tors byka, a na twarzy siatkę blizn. Stale mrużył oczy, nieustannie szukając zagrożenia. Włosy splótł w warkoczki i tak ułożył je w grzebień na czaszce, że przypominały furażerkę. Wyglądał w kaplicy jak budzący trwogę bożek.

Przy kozim łbie czekały gliniany dzban, powyginany cynowy kubek, drewniana misa i kawał liny. Gitiri nalał z dzbana do kubka trochę gęstego, ciemnego, lepkiego płynu

i odstawił naczynia. Potem jednym cięciem odrąbał ubitemu zwierzęciu nogę. Oskórował ją, odciął mięso od kości, posiekał je na dwadzieścia kawałków i złożył w drewnianej misie.

Kabaja spojrział na Gitiriego, pytając bez słów, czy jest gotów.

Zastępca potwierdził gotowość skinieniem głowy.

– Powtarzaj za mną te słowa – nakazał Kabaja. – *Mówię prawdę i przysięgam przed Bogiem i przed naszą organizacją...*

– *Mówię prawdę i przysięgam przed Bogiem i przed naszą organizacją...* – recytował młodzik niczym parafianin powtarzający modlitwę za pastorem.

Właściwa ceremonia rozpoczęła się, gdy Kabaja wypowiedział, a młody człowiek powtórzył następujące słowa:

*Że nie zawaham się walczyć o ziemię,  
Ziemie Kirinjaga, które uprawialiśmy.  
Ziemie zabrane przez Europejczyków.  
I jeśli zawiodę,  
Niech ta przysięga mnie zabije...*

Gitiri powstał, trzymając w jednej ręce cynowy kubek, a w drugiej drewnianą misę. Wyciągnął przed siebie misę. Kabaja wziął kawałek ociekającego krwią surowego mięsa i podał go młodzikowi, mówiąc:

– Niech to mięso mnie zabije...

Chłopak nieustannie uciekał wzrokiem w kierunku Gitiriego, jakby się bał stracić go z pola widzenia. Zawahał się. Kabaja spojrział gniewnie, bardziej surowo, z większym naciskiem niż poprzednio. Młodzik wziął od zastępcy kawałek mięsa, powtórzył: „Niech to mięso mnie zabije” i włożył je do ust. Przeżuwał przez chwilę, skrzywił się i przełknął szybko.

Gitiri podał dowódcy kubek.

– Niech ta krew mnie zabije – powiedział Kabaja.

Młody człowiek powtórzył te słowa i pociągnął łyk.

Inniczłonkowie ludu Kikuju patrzyli oniemiała, przerażeni, ale też zafascynowani, gdy dwa różne prądy ich kultury spłotyły

się w jeden nurt.

Uroczyste przysięgi krwi od dawna były centralnym elementem życia plemienia, chociaż dawniej ograniczały się do starszyny zasiadającej w radach. W ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat przybrały chrześcijański wymiar i wchłonęły rytuał komunii świętej, krwi i ciała Chrystusa pod postacią chleba i wina. W ten sposób komunია stała się mroczniejsza, głębsza, afrykańska z ducha. Przemawiała do rdzenia istoty dzieci Afryki i każde – od pędraka, który dopiero co nauczył się chodzić, po najstarszego siwowłosego dziadka czy siwiuteńką babkę – wiedziało, że taka przysięga tworzy nierozzerwalną świętą więź.

Kabaja zaintonował ostatnie słowa ceremonii i młodzik zaczął po nim powtarzać:

*Przysięgam nigdy nie pozwolić białym ludziom rządzić  
wiecznie naszą ziemią.*

*Przysięgam walczyć do śmierci o wyzwolenie naszych  
ziem.*

*Przysięgam, że prędzej zginę, niż zdradzę Europejczykom  
coś o naszej organizacji.*

*Tak mi dopomóż Bóg.*

Kabaja gestem odesłał młodego człowieka. Chłopak wrócił do swoich ziomków. Zbita grupka młodzieży uśmiechała się do niego szeroko, wyrażając uznanie. Ale jemu daleko było do radości. Kiedy patrzył w oczy Kabai, zrozumiał, że słowa, które wypowiedział, miały śmiertelnie poważne znaczenie. Będzie żyć dopóty, dopóki się ich będzie trzymał.

Skwatterzy jeden po drugim składali przysięgę, niektórzy z entuzjazmem, ale większość tylko dlatego, że była zbyt przerażona, by odmówić. Pozostało tylko pięcioro mężczyzn i kobiet, gdy Kabaja wskazał człowieka w średnim wieku.

– Ty następny – rzucił. – Jak się nazywasz?

– Joseph Rumruti.

Nie był wysoki ani mocno zbudowany. Miał wątle chude

kończyny i brzuszek. Był prawie łysy, a jego broda posiwała niemal całkowicie. Kiedy podawał imię i nazwisko, mamrotał z taką pokorą, jakby przeproszał, że żyje.

– Jestem jego żoną, Mary Rumruti – powiedziała kobieta obok. Jak mąż, sprawiała wrażenie pokornej i uległej.

Kabaja zaśmiał się pod nosem.

– Mary i Joseph, hę? A wasz syn to Jezus?

– Nie, nie mamy syna – odparł Joseph. – Pan nie uznał nas za godnych potomstwa.

– Hm... – mruknął Kabaja. – No więc, Josephie... Mary... czas, żebyście złożyli uroczystą przysięgę. Powtarzajcie po mnie...

– Nie – powiedział Joseph tak cicho jak poprzednio.

W kaplicy zapadła gęsta od przerażenia cisza.

– Czy ja słyszałem, że powiedziałaś „Nie”? – spytał Kabaja.

– Zgadza się. Nie mogę złożyć tej przysięgi, bo już złożyłem przyrzeczenie w kościele, w obliczu Boga, że nie będę miał nic wspólnego z tobą, twoimi wyrzutkami ani z innymi takimi jak ty.

– Kobieto. – Kabaja spojrzał na Mary. – Powiedz mężowi, żeby złożył przysięgę. Ma to zrobić, bo inaczej go zmuszę.

Mary pokręciła głową.

– Nie mogę. Też złożyłam przyrzeczenie.

Kabaja podszedł do Josepha. Górował nad nim. Opadły pozory ogłady, odsłaniając wojownika o żelaznym sercu. Szerokie ramiona spęcznieły pod koszulą khaki, pięści się zacisnęły, twarde i wielkie niczym obuch kowalskiego młota. Oczy lśniły wściekłością pod krzaczastymi brwiami.

– Złóż przysięgę. – Powiedział to tak cicho, jak przed chwilą Joseph, ale z mrozącą krew w żyłach nutą groźby.

Joseph nie potrafił spojrzeć mu w oczy. Opuścił głowę i dygotał ze strachu.

– Nie – powtórzył. – Nie mogę złamać słowa danego Bogu.

– Nie ty pierwszy mi się sprzeciwiasz – wycedził Kabaja.

– Tamci w końcu złożyli przysięgę, wszyscy, i ty też ją złożysz.

– Nie złożę.

Napięcie w kaplicy wzrosło.

– Joseph, złóż przysięgę! – krzyknął jeden z mężczyzn. – Na litość boską, zrób to!

– Posłuchaj przyjaciela – poradził Kabaja. – Idź za jego słowami.

Tylko najbliżej stojący mogli usłyszeć, jak Joseph mamrocze:

– Nie złożę.

Kabaja też usłyszał.

– Mam dość twojej głupoty – rzucił. – Zmuszę cię, żebyś przysiągł. Lina – rozkazał Gitiriemu.

Osiłek podszedł do miejsca, w którym leżała ubita koza. Odłożył kubek i misę i sięgnął po linę. Poruszał się powoli, wystudowanymi ruchami, prawie jakby i one były częścią uroczystej ceremonii.

Stał przed Kabają i zawiązał linę w pętlę, zostawiając luźno mniej więcej pół metra.

Jego dowódca skinął głową.

Gitiri założył Josephowi pętlę na szyję. Zaciśnął ją tak, że przylgnęła ściśle do gardła, po czym obszedł nieszczęśnika, trzymając koniec liny.

– Ostatnia szansa – powiedział Kabaja. – Złożysz przysięgę?

Drobny mężczyzna pokręcił głową.

– Złóż przysięgę, a cię oszczędzę – zwrócił się do Mary Kabaja.

Wyprostowała się, wyprężyła ramiona, spojrzała mu w oczy i powiedziała głośno i wyraźnie:

– Nie.

Kabaja pokręcił głową i wzruszył ramionami, jakby nie chciał robić następnego kroku, ale nie miał wyboru. Dał znak Gitiriemu.

Oprawca, zachowując całkowitą obojętność, zaciśnął mocniej pętlę na szyi Josepha.

Jego ofiara walczyła o oddech.

– Spójrz na mnie – odezwała się Mary i Joseph posłusznie



odwrócił do niej wzrok.

– Możemy to przerwać – powiedział Kabaja. – Możesz być wolny. Tylko przysięgnij.

Joseph nie zareagował.

Gitiri zacisnął jeszcze mocnej pętlę, dusił ofiarę powoli, milimetr po milimetrze.

Jego dowódca ocenił spojrzeniem swoich pozostałych ludzi, wywołał palcem trzech i kiwnięciem głowy wskazał Mary. Okrążyli ją. Byli uzbrojeni w maczety.

Dwaj inni mieli strzelby. Wycelowali w tłum. Ludzie kulili się, ciasno zbici pod ścianami kaplicy.

– Skoro sam się nie chcesz ratować, ratuj ją – zwrócił się Kabaja do Josepha.

– Nie! – krzyknęła Mary i zaintonowała Psalm 23. – *Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne...\**

Pomruk ze strony tłumu ukształtował się w ciężkie „Amen”.

– *Stół dla mnie zastawiasz... namaszczasz mi głowę olejkami...*

Kabaja stracił cierpliwość.

– Do roboty – rozkazał.

Podwładni go posłuchali. Gitiri szarpnął linę, zaciskając pętlę tak gwałtownie, że przecięła krtań i zmiażdżyła tchawicę Josepha.

Kiedy zamordowany runął na podłogę, Mary krzyknęła rozpaczliwie. Trzej oprawcy porąbali ją maczetami, siekając ramiona, którymi na próżno się zasłaniała. Padła martwa obok męża i leżeli oboje w jej krwi.

Kabaja obojętnie patrzył na trupy. Podniósł wzrok na ostatnią trójkę składających przysięgę. Ciasno zbici jeden obok drugiego, zasłaniaли się skrzyżowanymi ramionami.

– Przysięgajcie – rozkazał.

Posłuchali. Żarliwa rozpacz w ich głosach błagała tylko o jedno – żeby dać im wiarę.

---

\* Ps 23,4–5; ten i inne cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia.

## *Londyn*

Zanim przejdziemy dalej, proponuję toast – powiedziała Saffron Courtney Meerbach, unosząc kieliszek szampana. – Za Gubbinsa... dzięki któremu jesteście razem i bez którego żadnego z nas nie byłoby tutaj dzisiaj.

– Za Gubbinsa! – jednym głosem zawołała piątka mężczyzn i kobiet siedzących wokół stołu małego francuskiego bistro.

Pojawili się tu na zaproszenie Saffron, aby wspominać. Knajpka od dawna była ich ulubionym miejscem spotkań. Nieopodal Baker Street, w środku Londynu, rzut kamieniem od kwatery głównej SOE\*, Biura Operacji Specjalnych, stworzonej na potrzeby działań wojennych agencji dywersyjno-szpiegowskiej, w której prawie wszyscy służyli. Brygadier Colin Gubbins był ich dowódcą.

– Na Boga, ten to dopiero potrafił napędzić stracha, co? – rzucił Leo Marks, drobny mężczyzna o szelmowskim uśmiechu. – Wciąż pamiętam nocne koszmary po tym, jak pierwszy raz wpił się we mnie tymi swoimi ślepiami. Ci z nas, którzy studiowali filologię klasyczną, pamiętają bazyliuszka, mitycznego greckiego węża, który zabijał samym wzrokiem. No, przy naszym kochanym Gubbinsie bazyliuszek to Wróżka Zębuszka.

Spośród osób siedzących przy stole tylko jedna dołączyła

---

\* Skrót od Special Operations Executive.

do toastu bardziej z grzeczności niż z entuzjazmu. Wysoki mężczyzna o rysach jak spod dłuta rzeźbiarza, z rozwichrzoną ciemnoblonde czupryną i idealną opalenizną hollywoodzkiego gwiazdora. Ale policzki miał wychudłe i od czasu do czasu z szarych oczu wyzierał ból, jakby odbicie nieludzkiej grozy. Nie on jeden z tego małego grona jej doświadczył.

– Powiedz mi, kochanie – odezwał się z lekkim niemieckim akcentem Gerhard Meerbach, gdy sięgnął ponad stołem i uściskał dłoń żony. – Rozumiem, że wszystkich was łączy osoba Gubbinsa. Ale czemu ja zawdzięczam mu obecność tutaj? – Wzruszył kpiąco ramionami. – Byłem po drugiej stronie.

– Bo, kochanie, to właśnie Gubbins w kwietniu czterdziestego piątego wysłał mnie na północ Niemiec, żebym poszukała zagubionych agentów, w tym Petera...

Peter Churchill lekko skinął głową. W jego okularach odbiło się światło.

– Gdybym tam nie dotarła – kontynuowała Saffron – nigdy nie trafiłabym na ślad cennych więźniów, których SS miało nadzieję wymienić na usługi aliantów, ślad prowadzący aż do... – Miała powiedzieć „Dachau”, ale ugryzła się w język. Nie chciała, żeby dawne piekielne koszmary nawiedziły miejsce spotkania z przyjaciółmi. – Przez całe Niemcy i kawałek Austrii, aż do włoskiej części Tyrolu, gdzie... gdzie znalazłam ciebie, kochanie. I chociaż wydawało mi się, że zjawiłam się za późno...

Nagle oczami duszy ujrzała wyrazisty obraz: wspomnienie rozgorączkowanego Gerharda, zniszczonego, wychudzonego ludzkiego wraku, spoczywającego na – takie wtedy odniosła wrażenie – łożu śmierci. Gula w gardle odebrała jej mowę i zanim Saffron znów się odezwała, musiała powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

– Wybaczcie – przeprosiła. Zebrała się w sobie, wzięła głęboki oddech i z wypracowaną swobodą dodała: – Ale zdążyłam... i wszystko dobrze się ułożyło.

Zapadła cisza. Każdy z nich zachował gorzkie wspomnienia i zdawał sobie sprawę, że chociaż pogrzebał wojenne emocje,

to nie zdołał ukryć ich głęboko, i że ból czai się blisko, gotów wypełznąć w każdej chwili.

Peter Churchill wiedział, co w takiej sytuacji powinien zrobić angielski dżentelmen, i zrobił to – uderzył w lżejszy ton.

– Wiesz, Saffron – rzucił – wydaje mi się, że przykładasz zbyt dużą wagę do związku Gubbinsa z Meerbachem. Jakkolwiek było, gdybym nie utknął w tym samym koncentraku co Gerhard, nie trafiłaby się nam wspólna górską wyprawa rodem z koszmaru. I nie dałbym rady utrzymać go przy życiu... – Popatrzył na Gerharda. – Byłeś w strasznym stanie, chłopie, myśleliśmy, że odjedziesz na łono Abrahama... A ja tylko dlatego trafiłem na tę wycieczkę, bo Baker Street uparcie wysyłała mnie do okupowanej Francji, żeby Szkopy mnie dopadły. Tak więc ja też zawdzięczam coś brygadierowi Gubbinsowi.

– Niech będzie. W takim razie ja też mam wobec niego dług wdzięczności – przyznał Gerhard. – I wobec ciebie, Peter. Serdeczne dzięki. Bez ciebie wyzionąłbym ducha.

– Nie ma o czym mówić, stary. Każdy w mojej sytuacji zrobiłby to samo. Nie pomoc ci byłoby nieludzkie.

Gerhard w zamyśleniu pokiwał głową. Zmarszczył brwi, zbierając myśli, podczas gdy inni dali mu czas, bo widzieli, że coś go dręczy.

– Oto siedzimy tu sobie, wspominając wojnę – odezwał się wreszcie. – Nie mogę nie wrócić pamięcią do potworności, jakie widziałem... Wicie, że mnie uwięziono, ale trzy lata walczyłem na froncie wschodnim. Byłem w Stalingradzie prawie do końca. Widziałem, co robiono Żydom... plutony egzekucyjne, mobilne komory gazowe. Wszyscy moi przyjaciele zostali zabici. Czasem czuję się przeklęty przez los, że musiałem przeżyć tyle potworności, widzieć tyle cierpień i śmierci. Ale wtedy mówię sobie: nie, jesteś błogosławiony, naprawdę błogosławiony, bo doświadczyłeś cudu. Los pchnął mnie do grobu, ale grób mnie nie pochłonął. Przeżyłem.

Popatrzył na siedzących przy stole; zdawał sobie sprawę, że wycierpieli równie dużo albo więcej niż on i że dzielają jego

uczucia w sposób absolutnie niedostępny dla innych ludzi.

– A gdy ocknąłem się z głębokiego snu śmierci – ciągnął – pierwszym, co zobaczyłem, był anioł... Saffron, miłość mojego życia. Chcę zaproponować toast. Wcześniej zastanawiałem się, za co powinniśmy wypić... Może za szczęście... miłość, przyjaźń lub pokój... ale chciałbym wznieść toast za coś, co łączy nas wszystkich ... – Podniósł kieliszek. – Za życie, za największy dar.

Znów wypili, po czym podano potrawy. Do tej chwili żona Petera Churchilla, Odette, szczupła, ciemnooka brunetka, tylko słuchała, gdy inni zabierali głos. Teraz przemówiła z francuskim akcentem:

– Na pewno zrozumiesz, Gerhard, że nie było mi łatwo na myśl, że mam usiąść do stołu z Niemcem...

– Oczywiście – rzucił Gerhard.

– Ale potem dostałam od Saffron list, w którym opisała, jak poznaliście się przed wojną i zakochaliście w sobie. A Peter opowiedział mi, że był z tobą w Sachsenhausen. Zrozumiałam, że SS potraktowało cię nie lepiej niż mnie. Po tym, jak się spotkaliśmy... no cóż, mogę zrozumieć, dlaczego Saffron się w tobie zakochała.

– *Merci beaucoup, madame.* – Gerhard skłonił głowę.

Odette uśmiechnęła się przelotnie, promiennie, zanim spoważniała i równie grzecznie odparła:

– *Je vous en prie, monsieur.* Ale ciekawi mnie jedna rzecz. Czy poprosiłeś o rękę Saffron jej ojca? Bardzo chciałabym wiedzieć, jak zareagował na wiadomość, że wychodzi za Niemca.

Gerhard uśmiechnął się szeroko.

– Dobre pytanie! Daleko mi do przeciętnego Niemca. Moją rodzinę i rodzinę Saffron łączy... hm... przeszłość...

– Mój tato zabił jego ojca – oznajmiła Saffron tak niedbale, że nikt nie wiedział, jak zareagować na te słowa.

Wszyscy poczuli się tym bardziej w kropce, kiedy Gerhard podobnie nonszalanckim tonem dodał:

– Gwoli sprawiedliwości, trzeba wyjaśnić, że mój ojciec

próbował zabić matkę Saffron, mimo że w tym czasie była jego kochanką. – Urwał, ale niemal zaraz dodał: – I tak naprawdę kochała pana Courtneya.

– Tak to się plecie w Afryce – skomentowała lekko Saffron, podczas gdy inni starali się rozwikłać w myślach, kto kogo zabił, kto kogo kochał czy też jedno i drugie.

– Moja droga, to takie fascynujące! – zachwyciła się Odette. – Któregoś dnia musisz mi opowiedzieć całą historię swojej rodziny. Ale na razie chciałabym, żeby twój mąż odpowiedział na moje pytanie.

– Dobrze – zgodził się Gerhard. – Jak wiecie, kiedy Saffron mnie znalazła, byłem bardzo chory. Potrzebowałem kilku miesięcy w szwajcarskim sanatorium, żeby dojść do siebie, chociaż nawet potem byłem bardzo słaby. Saffron przez cały czas trwała u mojego boku. Kiedy w końcu nabrałem dość sił, żeby wybrać się do Kenii, którą lekarze uznali za idealne miejsce na kontynuowanie kuracji i odzyskanie pełni sił... – Urwał i rozejrzał się wokół stołu. – Kenia to raj, ogród Edenu. A dom Saffron, posiadłość Lusima... Ach, nie ma słów, którymi dałoby się ją opisać. Nadal nie odpowiedziałem jednak na pani pytanie, *madame*...

– Owszem – potwierdził mąż Odette. – Ale z wielką przyjemnością obserwuję, jak ci się to nie udaje. *Garçon!* Jeszcze dwie butelki wina, proszę.

– Pojechaliśmy pociągiem do Genui – kontynuował Gerhard. – Stamtąd statkiem do Aleksandrii, gdzie przesiedliśmy się na jednostkę, która przez Kanał Sueski popłynęła wzdłuż Afryki Wschodniej do Mombasy. Leon, ojciec Saffron, i jej macocha Harriet...

– Która jest najcudowniejszą macochą, jaką można sobie wymarzyć – wtrąciła Saffron.

– ...wypatrywali nas na nabrzeżu. Leon zabrał nas na kolację, a że oczywiście nie widział się z córką od lat...

– Czterech dokładnie.

– ...więc siedziałem bez słowa przez większość wieczoru, podczas gdy oni opowiadali, co ich spotkało.

– Śmiem twierdzić, że ci ulżyło, że to nie ty byłeś tematem rozmowy – zauważył Churchill.

– Owszem – przyznał. – Po deserze Harriet wstała i powiedziała: „Dziewczyny, myślę, że czas wyjść, żeby poprawić makijaż”. Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi z tym pudrowaniem. Ale wstały od stołu i kiedy już przedefilowały przez salę, zdałem sobie sprawę, że... zostałem sam z ojcem Saffron...

Leon Courtney oceniał siedzącego naprzeciwko wyniszczzonego wojną wysokiego, chudego trzydziestopięcioletniego mężczyznę równie uważnie, jakby miał do czynienia z kolejną inwestycją swojej rodziny. Jak na razie nie najgorzej, pomyślał. Nienaganne maniery, uprzejmy wobec mnie, czarujący wobec Harriet, zbzikowany na punkcie Saffron tak, że bardziej nie można. Do tego najwyższa nota za powściągliwość i nienarzucanie się. Ani cienia pozerstwa. Przeciwnieństwo cholernego tatuśka. No to sprawdźmy, z jakiego jest kruszcu...

– Masz ochotę na koniak do kawy? – spytał.

Gerhard wykrzeszał lekki uśmiech.

– Nie jestem pewien, czy lekarz by to pochwalił.

– Bzdura. Nic tak nie stawia mężczyzny na nogi jak koniak.

Gerhard popatrzył mu głęboko w oczy, dając do zrozumienia, że za jego wątłą fasadą kryje się charakter silnego, pewnego siebie mężczyzny. Zaśmiał się kwaśno.

– No dobrze, niech będzie koniak. Chyba mi dobrze zrobi.

– To się nazywa facet.

Podano dwie kawy i dwa podwójne koniaki. Gerhard w przeciwieństwie do Leona nie wiedział, że na tyłach hotelu jest miły ogród, w którym można usiąść w cieniu i cieszyć się



znakomitą obsługą. Harriet otrzymała dokładne polecenie, że ma tam zabrać Saffron i oczekiwać dalszego rozwoju wydarzeń.

„Przyślę po was kelnera, kiedy skończymy”, powiedział jej wcześniej Leon.

„Ale bądź wyrozumiały dla tego biedaczyny – poprosiła go Harriet. – Nie jest w najlepszym stanie, a Saffron go uwielbia. Jak zrobisz sobie z niego wroga, córka cię znienawidzi”.

Leon prychnął na te słowa, ale kochał Saffron głęboką miłością i z czasem nauczył się darzyć ją zaufaniem i szacunkiem. Nie wybrałaby tego mężczyzny, a już na pewno nie czekałaby na niego całą wojnę, gdyby na to nie zasługiwał. Niemniej jednak chciał się przekonać na własne oczy, z jakiego materiału jest przyszły zięć. Odczekał, aż Gerhard skosztuje koniaku, i spytał:

– A więc chcesz ożenić się z moją córką, tak?

– Tak, proszę pana. – W głosie Gerharda nie było cienia prośby ani przymilności; Leon słyszał tylko rzeczowość.

– Wiesz, że cię zabiję, jeśli z twojej winy spadnie jej choćby włos z głowy.

Gerhard zaskoczył przyszłego teścia: uśmiechnął się z łagodnym rozbawieniem i powiedział:

– Gdybym kiedykolwiek skrzywdził Saffron, nie musiałby pan mnie zabijać. Wcześniej sama wzięłaby sprawy w swoje ręce.

Leon nie mógł się powstrzymać i gruchnął śmiechem.

– Dobrze powiedziane! Oczywiście, że sama wymierzyłaby ci sprawiedliwość. Ale czy dałbyś jej radę?

Gerhard wzruszył ramionami.

– Teraz nie, panie Courtney. Dziecko dałoby mi radę. Ale kiedy poczuję się dobrze i odzyskam pełnię sił, nie będę nikogo maltretował... Nie jestem moim ojcem. Ale z drugiej strony, nie jestem też słabeuszem i... – Przerwał, skrzywił się i po chwili namysłu dodał: – Mój pierwszy lot nad Polską zaliczyłem o brzasku pierwszego września trzydziestego dziewiątego roku, pierwszego dnia wojny. Od tamtej pory byłem nieprzerwanie w służbie czynnej aż do aresztowania we

wrześniu czterdziestego czwartego. Pozwoli pan, że powiem, z czego teraz mogę być prawdziwie dumny. Zawsze robiłem, co się dało, dla moich podwładnych. Zostałem odznaczony najwyższymi medalami za odwagę w obliczu nieprzyjaciela. I w końcu, co najważniejsze... Pozbawiono mnie zarówno tych medali, jak i stopnia oficerskiego, kiedy stanąłem przed sądem w Berlinie. Mogłem uratować się przed więzieniem, przysięgając lojalność temu morderczemu szaleńcowi Adolfowi Hitlerowi. Ale odmówiłem. Mówię to panu, żeby wiedział pan, że nie jestem słabeuszem. Ani fizycznym, ani moralnym. Obaj zdajemy sobie sprawę, że Saffron nigdy nie pozwoli na to, żeby jakikolwiek mężczyzna nią rządził. Ale też nigdy nie potrafiłaby pokochać mężczyzny, który pozwoliłby rządzić sobą. I mnie kocha. Więc jesteśmy sobie równi.

Tak, trafił swój na swego, pomyślał Leon. Moja córka znalazła kogoś równego sobie. To dlatego nie odpuściła. Wiedziała, że nie spotka drugiego takiego mężczyzny.

– Ośmielę się przypuszczać, że pewnie myślałeś o tej chwili – powiedział. – O tym, jak będziesz prosił o rękę mojej córki. Zastanawiałeś się, jak to przyjmę, co?

Gerhard się uśmiechnął.

– Tak, trochę...

Leon wyszczerzył zęby.

– Ja też. Przyszykowałem długą listę pytań do ciebie, ale teraz myślę, że nie ma potrzeby jej ruszać.

– Dziękuję, proszę pana.

Leon spowaźniał.

– Wielu tu, w Kenii, straciło w czasie wojny rodziny, ludzi, których kochali. Nie znają cię. Niektórzy może będą skłonni dać ci szansę, ale większość nie. To niełatwa sytuacja. Ani dla ciebie, ani dla nikogo...

– Wyobrażam sobie.

– Saffron jednak kocha cię całym sercem, w to nie wątpię.

– Leon zaśmiał się. – Tacy już jesteśmy, my, Courtneyowie. Jeśli już kochamy, to szczerze i do szaleństwa.

– Wiedziałem to od chwili, w której na siebie wpadliśmy

– przyznał Gerhard. – Kiedy Saffy wystrzeliła z toru saneczkowego Cresta Run i wylądowała w śniegu u moich stóp.

– Ha! Moja krew! Teraz już nie wątpię, że ty też ją kochasz... i że w niczym nie przypominasz swojego ojca.

– To niewątpliwie prawda. Poświęciłem całe życie, starając się w niczym go nie przypominać.

– W takim razie serdecznie witam cię w naszej rodzinie, Gerhardzie. Z radością i dumą. Nie proszę o nic poza tym, żebyś kochał moją córkę i dał jej szczęście. Dopóki tak będzie, masz moją przyjaźń, wsparcie i pomoc, kiedykolwiek będą ci potrzebne. A jeśli nie...

Leon zamilkł i po chwili wezwał kelnera.

– Postaraj się, chłopie, znaleźć moją żonę. Jest w ogrodzie w towarzystwie mojej córki. Powiedz im, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby do nas dołączyły.

W Nairobi wysiedliśmy z pociągu, żeby załatwić formalności ślubne, i po kilku dniach urządzono nam ceremonię w kaplicy w Lusimie – powiedziała Saffron.

– Chór tworzyli robotnicy rolni z majątku – dodał Gerhard. – Myślałem, że bawarskie chóry są dobre, ale, na Boga, te głosy Afrykanów... Były niesamowite.

– Oczywiście to wtedy mój ukochany mąż odkrył, że tak naprawdę ma dwóch teściów, nie jednego...

– Ach, czy to nie za dużo nawet dla ciebie, mój drogi! – Szósta uczestniczka spotkania, była sekretarka brygadiera Gubbinsa, Margaret Jackson, roześmiała się.

– Nie, to prawda – zapewnił ją Gerhard i zaczął wyjaśniać: – Lusima jest ogromna, liczy ponad czterdzieści tysięcy hektarów.

– Dużo więcej – mruknęła Saffron.

– Jedna dziesiąta to ziemie uprawne i wszyscy pracownicy pochodzą z plemienia Kikuju. Ale reszta obszaru jest zachowana w stanie naturalnym i zamieszkała przez Masajów, którzy wędrują swobodnie, pasąc bydło. Saffron i ja zbudowaliśmy nasz dom na ich terenach, przy wodopoju, do którego schodzą się zwierzęta. Nazwaliśmy to miejsce Cresta Lodge, po torze saneczkowym Cresta Run w Sankt Moritz, gdzie się poznaliśmy.

Kiedy Gerhard mówił, widział, jaki zachwyty wzbudziła

wizja prywatnego afrykańskiego królestwa, w którym Saffron się urodziła i wychowała, świata dalekiego od szarego, mglistego Londynu i pobliznionych bombami ulic.

– Kiedy wznoszono nasz dom, mieszkaliśmy z Leonem i Harriet, ale doglądałem budowy, więc często przebywałem na miejscu. Pewnego dnia obudziłem się przed świtem. To najlepsza pora na obserwowanie dzikiej zwierzyny, więc zdecydowałem się na spacer. Było dość chłodno. Nic dziwnego, Cresta Lodge leży na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów. Powietrze było nieruchome i czyste, słyszałem tylko brzęczenie i ćwierkanie owadów. Za domem ciągną się niskie wzgórza i właśnie szedłem w ich kierunku, kiedy zobaczyłem ogromny, ciemny kształt sunący przede mną grzbietem wzniesienia. Do brzasku była jeszcze chwila, więc się zatrzymałem, żeby dokładniej ocenić, co widzę, i zdałem sobie sprawę, że mam przed sobą wielkiego słonia przekraczającego grzbiet wzgórza i zmierzającego w moją stronę. Pojawiły się następne ogromne kształty, a potem słonice z młodymi, wszystkie w szeregu. Kilkoro słońiątek trzymało się trąbami ogonów matek, kiedy truchtały za nimi. Pamiętam, jak uderzyła mnie łagodność i opiekuńczość matek, jakim spokojem tchnęło to stado przesuujące się na tle krajobrazu. Ale równocześnie miałem świadomość, że to najpotężniejsze i najgroźniejsze stworzenia, jakie kiedykolwiek spotkałem. Były jak ożywione wielkie, szare czołgi, miażdżące wszystko na swojej drodze. Stałem jak skamieniały, gdy szły niespełna trzydzieści metrów ode mnie. Nie chciałem, żeby cokolwiek zburzyło ten czarodziejski widok, ale też kołatało mi w głowie: żeby tylko nie rozżłości tego wielkiego słonia!

Wysłuchano tej opowieści w ciszy, z uznaniem i rozbawieniem.

– Jeszcze! – zawołał Leo Marks.

Gerhard się uśmiechnął.

– Skoro nalesz... Wieczorami po zakończeniu prac budowlanych czasem jeździłem do domu, bo... no cóż... obozowanie pod gwiazdami było wspaniałe, ale bez Saffron

już nie tak emocjonujące. Majątek jest poprzecinany kilkoma drogami. Nie są asfaltowe, nic w tym rodzaju, ale ziemia jest mocno ubita, więc da się jeździć z przyzwoitą szybkością. Pewnego wieczoru dojeżdżałem do obiegającego zagajnik zakrętu, więc nie miałem pełnej widoczności. Wziąłem zakręt pośpiesznie, bo chciałem być jak najszybciej w domu, i na samym środku drogi stała samica nosorożca z małym. Popatrzyła na mnie raz i oddaliła się drogą, z potomkiem następującym jej na pięty. Do waszej wiadomości: widok trzęsącego się obwisłego, ogromnego zada samicy nosorożca, znikającego z oczu, to nic pięknego. Ale jest o wiele przyjemniejszy niż widok tego samego nosorożca od przodu, szarżującego prosto na was. Innym razem wjechałem w stado lwów podczas orgii, która przypominała mi pewne berlińskie kluby jeszcze z czasów przed nazistami. Ale to długa opowieść i niepasująca do szacownej restauracji w jasnym świetle dnia.

– Opowiedz nam o tubylcach – poprosił Peter Churchill. – Teraz w prasie czyta się bardzo niepokojące artykuły o Kenii. Wiecie, o tych buntownikach...

– Mau Mau – podzuciła Saffron.

– Ta banda. Macie z ich strony jakieś kłopoty?

– Do tej pory, dzięki Bogu, nie – odparła. – Mau Mau działają w ramach plemienia Kikuju. To rolnicy i w granicach naszego majątku mamy ich całkiem sporo, na terenach uprawnych, na plantacjach. Ale na ziemiach nieuprawianych, tam gdzie mieszkamy z Gerhardem, żyją Masajowie, hodowcy bydła, a ci zupełnie się nie angażują w ten nowy ruch.

– Wódz Masajów na terenie Lusimy to wyjątkowy człowiek – powiedział Gerhard. – Nazywa się Manyoro. Przed laty, kiedy mój teść był młodym oficerem, Manyoro służył pod nim w randze sierżanta. Leon uratował mu życie.

– Manyoro odniósł ranę podczas walk z buntownikami z plemienia Nandi – wyjaśniła Saffron. – Mój ojciec dźwigał go na własnych plecach dobre kilka dni, żeby dojść do świętej góry Lonsonyo, gdzie mieszkała matka Manyora. Wymyślili, że tylko ona może opatrzyć rany syna. Była uzdrowicielką o

niebываłej mocy. Sama jej doświadczyłam. Od tamtej pory Manyoro i mój ojciec są sobie jak bracia.

– Ale przecież w takim kraju jak Kenia biały nie może się przyjaźnić z Murzynem – ocenił Marks. – Z tego, co się orientuję, jest tam pełno cholernych idiotów, którzy uważają, że czarnych dzieli tylko krok od małp.

– Zgadza się, są tacy – przyznała Saffron. – Ale jak powiedziałeś, to cholerni idioci.

– Możesz mi wierzyć, Leo, Manyoro jest dla Saffron drugim ojcem – powiedział Gerhard.

– Biedny Gerdi. – Saffron pochylała się i pocieszająco pogłaskała męża po plecach. – Wydawało mu się, że ciężkie przesłuchanie to pestka w porównaniu z tym, jak maglował go mój tatuś. Nie miał pojęcia, że czeka go jeszcze piłowanie przez Manyora.

– Był równie szczerzy jak Leon Courtney – dodał Gerhard. – Zagroził, że jeśli skrzywdzę Saffron, stanie się moim śmiertelnym wrogiem.

– Mówił tak jedynie dlatego, że bardzo mnie kocha. Kiedy tylko go zapewniłam, że jestem przekonana, że znalazłam właściwego mężczyznę, gorąco uściskał Gerharda i z miejsca zaczął wygłaszać mi kazanie.

Gerhard się uśmiechnął.

– Szkoda, że tego nie słyszeliście. Tłumaczył Saffron, że ma mi urodzić mnóstwo dzieci...

– Jak do tej pory udało mi się wydać na świat dwoje, synka i córeczkę, i mam wrażenie, że to w zupełności wystarczy.

– Jak mają na imię? – spytała Margaret.

– Alexander ma cztery lata, a Nicola dwa. Zwracamy się do nich Zander i Kika, bo sami tak na siebie mówią.

– Przywieźliście ich ze sobą do Anglii?

Saffron posmutniała i pokręciła głową.

– Nie. Myśleliśmy o tym, ale dla dzieci jest o niebo lepiej w domu z dziadkami i opiekunką, w otoczeniu ludzi, którzy je kochają. Zamęczyłyby się, gdybyśmy wlekli je ze sobą po Europie. Są zbyt małe, żeby zrozumieć, co się dzieje,

gdzie wylądowały. – Uśmiechnęła się z tęsknotą w oczach. – Dziś rano dostałam list od Harriet. Pisze, że Zander i Kika są przeszczęśliwi, świetnie się bawią, rozpuszczani przez wszystkich jak dziadowski bicz. Tylko chciała mnie pocieszyć, ale oczywiście wylałam morze łez.

– Myśle, że dobrze zrobiliście. – Margaret poklepała ją po ręce i popatrzyła na Gerharda. – Przepraszam, że przerwałam ci opowieść.

– Nie przejmuj się. Chciałem tylko dodać ostatnie polecenie Manyora dla Saffron. Powiedział, że kiedy się zestarzeje, jej świętym obowiązkiem będzie znalezienie mi młodych żon, nauczenie ich posłuchu i dopilnowanie, żeby urodziły mi więcej potomstwa.

– Wspaniały facet! To mi się podoba! – zawołał Churchill.

– Phi! – prychnęła Odette w iście francuskim stylu, przewracając oczami. – Patrzcie, oto nadchodzi Pierre! – zawołała.

– *Ach, mes amis* – przywitał ich restaurator, podchodząc do stołu. – Tak dawno was nie widziałem! I... – przerwał i z trudem przełknął ślinę – to doprawdy zaszczyt obsługiwać was w mojej restauracji. Odette, widziałem film, ten, w którym Anna Neagle gra ciebie, i moja kochana żona musiała mnie mocno trzymać za rękaw, żebym się nie zerwał i nie wrzasnął na całe kino: „Znam prawdziwą Odette!”.

Francuzka się rozchmurzyła.

– Dziękuję, Pierre. Dla mnie to też przyjemność znów tu gościć.

Saffron jako była agentka SOE знаła historię Odette, która dawniej nazywała się Sansom: jej wyczyny w okupowanej Francji, aresztowanie przez Gestapo, tortury, które musiała wycierpieć, przerażające maltretowanie w obozie koncentracyjnym Ravensbrück. Ale powojenne lata spędziła w Kenii i nie zdawała sobie sprawy z rozgłosu, jaki otaczał Odette.

– Przyjmij szczerze wyrazy szacunku – ciągnął Pierre. – I najgłębszego współczucia z powodu tego, co musiałaś znieść.



To, co zrobiły ci te brudne Szwabym... Są nie lepsi od dzikusów.

Wyczuł nagłe zażenowanie, które zapadło przy stole, i wybąkał:

– Czy powiedziałem coś niewłaściwego?

Gerhard uśmiechnął się uspokajająco.

– Nie, Pierre... rzecz tylko w tym, że jestem brudnym Szwabem. Ale masz rację. Niektórzy Niemcy byli cholernymi dzikusami i dopuścili się rzeczy, za które wstydę się do głębi. Ale większość z nas taka nie jest. Nie jesteśmy lepsi ani gorsi niż inni.

– Wiedz, że jestem Żydem i siedzę z Gerhardem przy jednym stole – wtrącił się Leo Marks.

– Nie chciałem nikogo obrazić. Bardzo proszę, pozwólcie, że nie wystawię rachunku za tę kolację. Niech będzie, jak to mówią Amerykanie, na koszt restauracji.

– Dziękujemy, Pierre, to bardzo miłe – podziękowała Odette. – I nie przejmuj się. Miałeś dobre intencje. Ważne tylko, że wojna się skończyła. Teraz możemy żyć w pokoju.

Saffron wzięła Gerharda za rękę i popatrzyła mu w oczy. Byli ze sobą od sześciu lat, ale nadal uważała za cud, że ma go przy sobie.

– I niech tak zostanie na wieczność – powiedziała.

PIERRE DUFORGE UWAŻAŁ SIĘ ZA wcielenie dyskrecji. Ale był też człowiekiem interesu i prowadzenie restauracji w sytuacji, gdy brytyjska gospodarka była zrujnowana, nie przychodziło mu łatwo. Niemożność zdobycia kulinarnych specjałów dla klientów dodatkowo pogarszała sytuację. Kiedy jeździł do ojczystej Francji, nieodmiennie widział stragany na bazarach uginające się pod ciężarem warzyw, owoców, mięsa, serów oraz wszelkich odmian pieczywa i ciast. Dlaczego Brytyjczycy nadal głodują? – zachodził na próżno w głowę.

Gdy odchodził od stołu, jego sumienie walczyło z koniecznością zarobienia paru funtów. Zdawał sobie sprawę, że poszanowanie prywatności klientów to jeden z filarów

jego fachu, ale czasy nie sprzyjały moralności. Bez sprytu i wykorzystywania okoliczności czekał go marny los. W końcu powiedział sobie w duchu: To tylko drobiazg, nikt na tym nie straci. I nie wystawiłem im rachunku. Pewny, że nikt go nie widzi, wślizgnął się do biurowego pomieszczenia i wykręcił numer stałego gościa, który przypadkiem był reporterem „Evening Standard”, jednej z dwóch największych londyńskich gazet.

– Niech pan szybko przyjeżdża! – szepnął. – Mam tu Odette z całym zastępem starych towarzyszy broni. A kelner podsłuchał, że jedna z pań właśnie przyjechała z pałacu Buckingham.

Reporter zamienił słowo z szefem działu materiałów zdjęciowych i ustalili, że temat może zaciekać londyńczyków wracających z pracy do domu. I tak kiedy Saffron, Gerhard, Odette i reszta towarzystwa opuszczali bistro, oślepiły ich flesze aparatów fotograficznych i ogłuszyły pytania padające z szybkością strażów karabinów maszynowych.

Odette, przyzwyczajona do roli osoby publicznej, przyjęła to na siebie. Gerhard niezbyt wiedział, jak zareagować; był trochę zbity z tropu pytaniami. Wróciły wspomnienia przesłuchań, które wołałyby raczej zostawić za sobą. Ale Saffron zbyła śmiechem jego skrzępowanie.

– Przypomniały mi się czasy, kiedy wchodziłam w wyższe sfery, jeszcze w latach trzydziestych. Na przyjęciach ciągle trzaskano mi zdjęcia z młodymi panami, którzy podobno mieli się ze mną ożenić.

Gerhard spojrział na nią, unosząc brwi.

– Och, nie przejmuj się – rzuciła. – Żaden z nich za grosz mnie nie interesował. Byli albo beznadziejnie nieśmiali, albo nie potrafili utrzymać rąk przy sobie. Wierz mi, kochanie, ty okazałaś się dla mnie wielką rewelacją. – Zniżyła głos tak, że nikt poza mężem nie mógł jej usłyszeć. – Twoje ręce potrafią czynić cuda.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).